Nro 9.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 19 kwietnia 1845. **Rok szósty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 5 kwietnia 1845.

LONGCHAMPS.

Po stokilkudziesięciu dniach ciągłego mrozu, *Longchamps* tegoroczne, z którego właśnie sprawę zdać nam przychodzi, niemogło być tak świetne i uroczyste a tchnące tą wesołością jaką się zwykle powrót najpiękniejszej pory roku objawia. Mimo to jednak ludność była wielka; pojazdów mnóstwo, elegantów i elegantek moc nieprzeliczona, a ztąd mnóstwo nowości tak w materiach jak i strojach.

Nic łatwiejszego jak dać prosty ich spis czytelniczkom; lecz z niego niewieleby skorzystały, bo w tej liczbie zazwyczaj więcej nierównie bywa dziwactw, niżeli oznak dobrego gustu. Najtrudniejsza zaś zchwycić pewne skazówki po których możnaby zapowiedzieć co się z tego tłumu nowości utrzyma i przyjęte będzie z upodobaniem od wszystkich.

Materie najnowsze jak powiedzieliśmy są bardzo rozmaite: tkaniny chińskie, batysty, muszliny jedwabne, batysty szkockoindyńskie w swoim rodzaju doskonałe, organtyny wybijane w guście arabskim, palmirki w odcienia rozmaite i w kratki, balzorki i mnóstwo innych. Natura każdej tych różnych materij wprowadzi zapewne wiele modyfikacij co do kroju samego sukień modnych, a o ile ta nasza przepowiednia sprawdzi się, pokaże się to niebawem. Wszystkich tych materij użyć można na eleganckie penioary, piękne redyngociki, i suknie w stylu maurytańskim wynalazku jednej z pierwszych paryskich modystek, potrzeba tylko troche więcej ciepła aby wystąpić można w tych strojach. Teraz zaś wypadało pozostać przy redyngotach amazońskich których opis niżej dajemy.

Co do kapeluszów i kapotek forma ich, jakto można twierdzić z pewnością, przyjęta będzie taka jaka będzie w największej harmonii tak ze strojem całkowitym, jako też nadewszystko z fizionomią dam. Kapelusze ryżowe ozdobione gałązką akacii lub bluszczu albo też narcyzową girlandą są już dziś poszukiwane po tutejszych pracowniach; podobnie też i kapelusz z *poult-de-soie* ze stosowną korunką; najwięcej jednakże poszukiwane są nowe kapelusiki z krepy w trzy odcienia jednego koloru; nic nie masz bardziej eleganckiego i wyszczególniającego się nad ten strój głowy, który przypada bardzo odpowiednio do sukień ciemnych z jedwabnego muszlinu lub tym podobnych. Zajmują się teraz więcej niż kiedykolwiek tem, jak ozdobić elegancką kapotkę fontaziem w nowszy sposób lub też innym jakowym przystrojem. Widzieć także można turbany przezroczyste z gazy tęczowej lub tarlatany, koloru białego z różowym, albo białego z bladoniebieskim. Z czepeczków, najlepiej się wydają tak zwane *à la provençale,* z wielkim fontaziem na przodzie, z opadającemi końcami.

Pokazało się kilka nowych rodzajów rańtuchów, które niezawodnie otrzymają wziętość powszechną; lecz nierównie większą otrzyma nowy rodzaj mantyli z materii jedwabnej koloru czarnego lub kameleonowego, całkiem nowym krojem wygodnym i eleganckim zarazem: damy ich model na jednej z najbliższych rycin. Garnirunek do nich może być albo w sposobie rurek, albo z falban, albo z korunek axamitnych; ten ostatni jest najwięcej ozdobny.

S t r o j e o d p r z e c h a d z k i: redyngocik axamitny w stylu Ludwika XIII; stanik wysoki w rodzaju amazonek z dwoma szpicami z przodu rozdzielonemi od siebie; rękawy buchaste rozcięte u dołu zpod których widać rękawki; rząd wielkich guzików idzie przez cały stanik i spodnicę.

Suknia z materii *memphis* ze stanikiem obcisłym i przepaską, ozdobiona haftami; poły sukni ozdo-

bione piramidą uformowaną z siedmiu kółek stopniowanej wielkości. Mantyla z *poult-de-soie* koloru kameleonowego z białą podszewką. Kapelusz krepowy blado-różowego koloru ozdobiony tiulem w rurki układanym pod kanią.

Strój wieczorny: włosy obwiedzione przepaską, na nich turban algierski z gazy gładkiej, z fręzlami złocistemi, po bokach spadają końce zawoju; suknia wygorsowana materialna, ze stanikiem fałdowanym, obcisłym, ozdobionym na przodzie sprzączką bogatą, rękawy drapowane podpięte u góry różą z wstążki; spodnica po obu stronach otwarta, którento otwór przewiedziony wązką szlarką korunkową w sposobie drabinki, powyżej zaś otworów służą za ozdobę róże z wstążeczki; rękawiczki zasłaniające czwartą część ręki opatrzone sprzączką do zapinania, nowego wynalazku.

Strój głowy z korunek angielskich zbieranych w rurki, ozdobiony kwiatami; suknia krepowa ze stanikiem kończastym ozdobionym podwójnemi wyłogami wycinanemi w zęby, które to wyłogi są u góry tak szerokie że aż ramiona zakrywają, u dołu zaś co raz bardziej się zwężają, u samego końca zasłonione są sprzączką bogatą. Rękawiczki takiejże długości jak pierwej z haftami. Pęk kwiatów z ogrodu.

Strój od koncertu: suknia muszlinowa jedwabna z girlandą; stanik z gorsem ozdobiony wycinanemi wyłogami; spodnica ubrana trzema szerokiemi wolantami w zęby. Stroik bez denka w stylu maurytańskim; chustka z gotycką cyfrą. Flakonik z wodą pachnącą.

Stroje męskie. Zdaje się że wracamy do mód dawnych, bo wszystkie wynalazki nowe są naśladowaniami wzorów dawniejszych. Otoż widzimy fraki z długim szerokim stanem, podobniuteńkie do starych fraków *à la française;* inne znow są z krótkiemi połami i zdają się odwzorowane z czasów cesarstwa; nakoniec z ogromnemi kołnierzami przypominającemi też samą epokę. Klapy szerokie które aż na ramiona zachodzą, pochodzą z czasów nierównie bliższych, a ta forma wznowiona dziś, żartobliwie nazwana została otworzystą.

Istotne więc wzory naszego fraka dzisiejszego są składaniną z czasów Ludwika XV; z czasów cesarstwa; z wzorów angielskich i niektórych innych.

Najwyśmienitszy z nich jest frak obcisły przylegający dobrze do figury, którego żadna część niewykracza poza gust dobry i w którym dają się tylko takie zmiany jakich wymaga szczególna i przyrodzona postawa jednej lub drugiej osoby. Taki frak odznacza się między innemi we wszystkich pracowniach.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię jedwabną z płaskiemi falbanami w ząbki wybijane, czepeczek kwiatami ubrany. Drugi szlafroczek z fularu w przodzie wstążkami ozdobiony, kapelusz jedwabny to samą materią ubrany. Trzeci równie szlafroczek jedwabny w przodzie pasamonicką robotą ozdobiony; stanik otwarty z rabatkami, na głowie negliżyk wstążkami ubrany. Tudzież dwa surduty różniące się krojem i wyłogami.

PAN WINCENTY.

Czy nie tak się dzieje?

Łukaszu miejcie też staranie o gumnach i domie, niechaj z wieczora czeladź ognie pogasi, gromadzkim nakazać zmłocki do jęczmienia na jutro; trzeba po pół kopy wysadzić żeby jednego dnia sprzątnąć; ja dnia jutrzejszego wcześnie powrócę; powiedźcie Czepkowskiej niechaj ma pilne oko na stróża, żeby kucharzowi wódki nie przyniosł.

Tak mówił pan Wincenty majętny piędziesiąt-kilkoletni kawaler jadąc w sąsiedztwo na imieniny pana Błażeja. A wziąwszy niedźwiedzie na siebie wsiadł spiesznie do sanek i niedając żadnej odpowiedzi na kilka zapytań starego karbownika wyjechał za bramę.

Kiedy tak rusza czterma siwemi klaczami, my tym czasem zatrzymując się w jego mieszkaniu, posłuchajmy rozmowy Łukasza z Czepkowską wszechwładną ochmistrzynią domu pana Wincentego od lat kilkunastu.

Co też się naszemu panu dzieje?... (mówił Łukasz skrobiąc się po głowie) od niejakiego czasu, ani to rozmowy ni dobrej dyspozycii, jeździ raz na raz do tych państwa Błażejów, a jak powróci chodzi po pokojach rękami głowę pociera, a myśli... myśli jakby chciał xiążki napisać... boję się przyznam się wam szczerze, żeby na koniec niezachorował, bo nawet trochę zmizerniał....

—»Nic mu nie będzie,« odrzekła klucznica, »ot, na starość oszalał« lecz w tej chwili żegnając się wielkim placem po ustach dodała »panie odpuść mnie grzechy« bo też pierwszy raz na swego pana takie wyrzekła słowa.

—»Jakto!« przestraszony Łukasz wykrzyknie.... Lecz klucznica ochłonąwszy z pierwszego zapału, podając mu otwartą tabakierkę, rzekła po cichu... »to się ma znaczyć że się zakochał«. »No, to nic tak złego, lepiejby było żeby się ożenił, bo mu tak nudno na świecie i szkoda tego majątku«.... »Lepiej! ofuknie

Czepkowska, i wy chcecie podobnie radzić jak temu dni kilka xiądz proboszcz z panią Szymonową, tamten mu prawił o daremnych zabiegach... tęsknocie, nawet o zbawieniu duszy.... A pani Szymonowa jak się zaczęła zasiadać na kanapie z naszego pana przyszłą małżonką, jak mu zaczęła sprowadzać małe aniołki, to nasz pan i wzdychał i kaszlał i śmiał się aż mnie go żal było.... Bo trzeba żebyście wiedzieli że właśnie w tym czasie byłam przypadkiem w alkierzu i chcąc nie chcąc całą tę rozmowę dobrze słyszałam.... Dla tego jak tylko odjechali ci nieproszeni goście, powiedziałam panu szczerze, jakito ład będzie w domu gdy się ożeni, jak do niczego nie trafi, jak wszystko poleci na stroje, a najwięcej mówiłam o tych miłych przez panią Szymonowę zwerbowanych aniołkach.... Co go tak zafrasowało że mnie powiedział iż jeszcze ten raz pojedzie do państwa Błażejów, a potem już się niewyruszy z domu.

— »To szkoda« odrzekł stary Łukasz, »dobre panisko, majątek piękny... budynki czyste... bydła łaska pana boga; a kto to weźmie?... »Kto weźmie, to weźmie, nie wasza w tem głowa, ale to pewna że nigdy niedopuszczę żeby pan na starość miał się żenić....

Stary Łukasz podniósł się a wychodząc mruczał pod nosem: »Daj go katu jaka mi pewna.«

Tymczasem pani Czepkowska rozdmuchała na kominku ogień, postawiła czajnik, butelki z rumem, sucharki i cukier, a wziąwszy stroik z różowemi wstążkami na głowę i kitajkowy fartuch przed siebie zawołała Jagi... której stanowczym głosem takie wydała rozkazy »Pójdź na folwark i powiedz panu ekonomowi że go proszę do siebie, gdyż pan odjeżdżając zostawił u mnie różne dla niego dyspozycie«. Gdy jednak dziewczyna zamiast wypełnienia jej rozkazów, stała w miejscu wijąc fartuch w swych rękach. Pani Czepkowska zniecierpliwiona jej milczeniem wykrzyknie: »Czy nie słyszałaś?« — »Ach bo proszę jejmości (drząca Jaga odpowie) kiedy pana ekonoma niema w domu, jak tylko nasz pan wyjechał za bramę, on zapalił fajkę i gdzieś na fornalce drugą bramą cwałem poleciał«. »Poleciał... poleciał! piskliwym klucznica wykrzyknie głosem.... »A więc do leśniczyny... ruszaj do swojej roboty boście wy wszyscy tacy; gdy dziewczyna wymknęła się za drzwi, pani Czepkowska rzuciwszy ozdobne stroje na łóżko duszkiem wypiła szklanki herbaty z rumem, a potem w tych słowach zaczęła rozwodzić swe żale....

Otoż to wdzięczność takich młokosów, karmiłam, okrywałam, bo jak tu przyszedł nie miał butów na nogach... chwaliłam przed panem, jaki on dobry, pilny, zabiegły.... A za to podobała mu się ta blada maska pod lasem.

Powiem... powiem panu jak on się zepsuł bo czy nie prawda.... Jak pan w domu to on się kręci, krzyczy, niby pilnuje, jak pan wyjedzie, to tylko spi, fajkę pali albo czeladzi na skrzypcach rzępoli, a teraz jeszcze będzie fornalki zajeżdżał.... Dość tego wysadzę go tak jak już wielu innych, kiedy nie chciał znać się na rzeczy... i zarzuciwszy na głowę starą wełnianą chustkę, pospieszyła na folwark....

Tam słychać było wrzawę i śmiechy bo chociaż nadeszła południowa godzina i bydło ryczało w oborach, czeladź jednak licznie się zebrała w swej ulubionej sali bawialnej.... Pastuch z owczarczykami piekli stosy kartofli przeznaczonych dla kotnych macior, dziewki pachtarskie prażyły w rądlach mleko, gromadzki kiwając się na ławie z przymrożonemi oczami, dopalał fajkę, a kucharz Stanisław już dobrze podchmielony stojąc na środku izby deklamował jakąś tragiczną scenę trzymając szlafmycę na rożnie; słuchając jego rubasznych wyrazów całe towarzystwo okazywało serdeczne zadowolenie, lecz najwięcej oklasków udzielał swemu pryncypałowi zamurdzany stróż Tomek, wierny i nieodstępny pana kuchmistrza Stanisława adjutant; trzymając się bowiem za boki, przewracał się od śmiechu na stole bijąc piętami po ławie.

Na widok pani Czepkowskiej wszyscy zamilkli, a gdy porwała za miotłę jakby na komendę rzucili się do drzwi gdzie w strasznym natłoku tylna straż dostała po plecach.... Jeden tylko Stanisław włożywszy z powagą szlafmycę na głowę z miłym uśmiechem zaintonował następującą śpiewkę:

Biegnie kwoka ze szpichlerza
Smaczny kąsek niesie,
Kogut się jej przeniewierza
Bo pieje przy lesie.

Darmo, darmo, będziesz kwokać
Na gniazdeczko wabić,
Bo twój samczyk.....

W tej chwili dowcipny spiewca tak niespodziewanego odebrał policzka że się zachwiał na nogach, a pani Czepkowska z miotłą w ręku i rozognionem licem wybiegła na dziedziniec.... Kiedy się ugania za czeladzią po wszystkich kątach i kiedy Stanisław na pocieszenie przerwanej poezii do reszty się zapił, nie mając w tej chwili co robić w domu pana Wincentego jedźmy na imieniny pana Błażeja.

II.

Dom państwa Błażejów znany był w całej okolicy z wesołej gościnności, tańców i zabaw, dla tego też

w każdym czasie nie brakowało tam na licznem zgromadzeniu, a chociaż nie jeden z przybywających gości, znając dobrze kłopotliwe interesa pana Błażeja zaocznie śmiał się z jego próżności i widocznego nieładu, wesoło jednak w tym domu spijał przy każdej sposobności szampana.

Pan Błażej był to człowiek jeszcze w średnim wieku, okazały z postawy, rubaszny w mowie i zawsze wesołego humoru, umysł jego mało wykształcony, próżny, nadęty, dążył całe życie do zle zrozumiałej pańskości.

Sądził on że człowiek dobrego tonu powinien się odznaczać pięknym ekwipażem, wytworną liberią, wystawnym obiadem i zawsze głośną, stanowczą chociaż często niedorzeczną mową.

Nie myślał on o tem wcale że w dzisiejszym czasie, tylko prawdziwy rozsądek, uprzejma lecz nie przesadna grzeczność, szczere postępowanie w każdem zdarzeniu i szlachetna pomoc w niedoli, są jedyną ozdobą ludzi wyższego stanu.

Dla tego chociaż odziedziczył piękny szlachecki po swoich rodzicach majątek, pędząc za śmiesznemi błyskotkami, doszedł do tej ostateczności że jego interesa majątkowe z wystawą domową w zupełnej były sprzeczności; kiedy bowiem nieszczęsna chwila szybkim się zbliżała krokiem, w której kredytorowie mieli rozciągnąć areszt na jego cały majątek, w domu słyszałeś jeszcze huczną muzykę, tańce, widziałeś kosztowne na stołach śrebra, galonowanych lokai i herby złocone przy bramach.

Żona pana Błażeja była to osoba cicha, potulna, czytająca po całych dniach nowe romanse, które wszakże na jej wyobraźni nie zostawiały żadnego śladu, gdyż po przeczytaniu xiążki zaledwie pamiętała imię autora, jednem słowem była to osoba z tym wiecznym uśmiechem słodyczy na ustach, który nie jednego męża przyprowadził do niecierpliwości lub pogrążył w nieuleczonej melancholii.

Ich córka Sabina prawdziwą była ozdobą domu państwa Błażejów; młoda, ładna, uprzejma, utalentowana za wiele jednak we wszystkich uczuciach (co się u nas bardzo często zdarza) wyexaltowana. I dla tego kiedy się dowiedziała o smutnym stanie majątku rodziców, i gdy jej ojciec oświadczył że jedynie zamęźciem z panem Wincentym może się ratować, bez wahania się przyjęła ten projekt w tem przekonaniu że poświęcając swoją osobę, ustali szczęście rodziców których namiętnie kochała.

Kiedy pan Wincenty przyjechał do państwa Błażejów mało jeszcze było gości, a chociaż wszedł do pokoju z tem przekonaniem że związki małżeńskie przez panią Szymonowę proponowane i przez niego dwuznacznie przyjęte mogą nie przyjść do skutku, jedno urocze i przeciągłe spojrzenie panny Sabiny, potrafiło myślom jego zupełnie inny nadać kierunek.

Wkrótce zaczęli się zjeżdżać goście, odgłos harapów i dzwonków nastawał jeden po drugim na dziedzińcu domu pana Błażeja, i po krótkiej chwili napełniły się pokoje licznem zgromadzeniem dam i mężczyzn których gospodarz z wypogodzonem licem przyjmował w swych progach; witając jednych poufałą dłonią, drugim podając łaskawie jeden tylko palec, w dowód jednostajnie łaskawej przyjaźni.

Gdy damy zajmowały swe miejsca w pokoju bawialnym z których nie jedna siadając na boku spojrzała niechętnem okiem na już zajęte kanapy, mężczyzni zaczęli rozmawiać o handlu zbożowym, czynszach i wstrzemięźliwości.

Nastała wkrótce ta nudna przedobiadowa chwila w której zwykle kobiety czynią w milczeniu swe tajemnicze uwagi a mężczyźni spoglądają nieustannie na drzwi do sali jadalnej.

Nakoniec zjawił się najpożądańszy gość, to jest kamerdyner pana Błażeja w czarnym fraku i jedwabnych pończochach z oznajmieniem: »że obiad na stole«. Wtenczas gospodarz domu posunął się do pani Szastalskiej, majętnej wdowy siedzącej na pierwszem miejscu, ta mimo podeszłego wieku i otyłości podniosła się lekko z uśmiechem zadowolenia z kanapy; i wkrótce dwa wielkie pióra kołysały się nad jej karmazynowym nosem, a zfałdowane i obnażone plecy były dowodem że ta pani chociaż w poźnej jesieni jeszczeby z chęcią przypięła do swego boku kwiatek rozkosznej wiosny.

Za pierwszą parą szły inne ochoczo do stołu, a na samym końcu prowadził pan Wincenty pannę Sabinę która mając umysł jedynie zajęty szczęściem swych rodziców z miłem spojrzeniem podała mu rękę.

Zaczął się obiad... zpoczątku tylko brzęk naczyń stołowych, dał się słyszeć w sali jadalnej, wkrótce jednak głośniejsze powstały rozmowy, a nakoniec muzyka, wiwaty i wystrzały z moździerzy zwiastowały wesołą biesiadę w dniu imienin pana Błażeja.

Pan Wincenty siadł do stołu obok panny Sabiny w milczeniu, walcząc ze swemi myślami... lecz niebawnie szumiący napój, czarowne oczy a nawet kilka miłych wyrazów, tak mu zmieszały szyki, że z prawdziwym zdziwieniem całego towarzystwa, jeszcze przy stole pocałował kilka razy białą panny Sabiny rączkę.

Gdy dano ostatnie wety po których z łoskotem cafnęły się krzesła, mężczyźni odprowadziwszy damy do pokojów bawialnych na kilkagodzinne duma-

nia, poszli do oficyny z panem Błażejem gdzie ich czekały... wesoła pogadanka, kawa i cygary; z jak żywą chęcią chciałem zostać z temi paniami chcąc bydź uczestnikiem tylu szczerych oświadczeń przyjaźni... szacunku... i tylu z ubiegłych czasów przyjemnych wspomnień; jakże chętnie chciałem podsłuchać owe dowcipne... często złośliwe i zawsze wesołe zdania młodszego wieku.... Może nawet byłbym podchwycił nie jedno przelotne westchnienie... nadziei... szczęścia a może i cięzkiego smutku.

Lecz czyliż mogłem się narażać sam jeden na tę straszną chmurę ostrych pocisków wymierzonych do serc tych obrzydłych fajkarzy?... Wolałem uniknąć tak niebezpiecznej przygody i siadłszy w kłębach tytuniowego dymu spocząć chwilę po dobrym objedzie....

III.

Komuż z nas zwłaszcza po obfitym w trunki obiedzie, nie jest znana ta szumna mężczyzn wymowa, ta pewność zdań rozmaitych, i te szczere wysłowienia się stałej przyjaźni a czasem i ostrych wymówek? ktoż jest w stanie opisać te górne, dowcipne a często wcale niedorzeczne frazesa?... Przypatrzmy się raczej w milczeniu całemu towarzystwu a szczególniej panu Wincentemu który w tej pogadance najwięcej nas zajmuje.

Pan Wincenty jak już namieniliśmy był to człowiek podeszłego wieku, niskiego wzrostu z przyjemnem wejrzeniem i niezachwianem zdrowiem.

Syn ubogich rodziców którzy mu przy zgonie zostawili bardzo mało rozwinięty umysł i jeszcze mniejszą spuściznę, przez zdrowy rozsądek w rolniczych pracach i kilkadziesiątletnią oszczędność, doszedł do znacznego majątku, a przechodząc stopniową coraz większe dzierzawy, z których zawsze szczęśliwie wychodził i czyniąc trafnie wyrachowane spekulacie, ujrzał się nie tylko w stanie kupienia dwoch wsi w żyźnej okolicy ale nadto zebrał znaczny w gotowiźnie kapitał.

Zajęty całe życie zbieraniem pieniędzy, kiedy w poźnym wieku ochłonął w tych ciągle handlowych podróżach i osiadł w domu, chcąc użyć swobodnego spoczynku, uczuł jakąś wewnętrzną tęsknotę a szczególniej żal zostawienia tak ciężko zapracowanego majątku w zupełnie obcych rękach. Ta myśl z każdym dniem silniej zajmowała jego spekulacyjną głowę, a nakoniec dręczyła go po całych nocach.

Nie była to wszakże myśl pochodząca ze smętnej duszy, która często ludziom bezżennym zwłaszcza przy schyłku życia przedstawia samotnie przebiegłe lata, która im wznawia w pamięci tylko chwilowe uczucia miłości, i przykre bo częstokroć obłudne przyjaźni związki, która złożonemu na łożu śmiertelnem starcowi tylko najemnicze podaje dłonie, i nie zrosi jego grobowca czułą łzą stroskanej rodziny.

Taka myśl nie zajmowała wcale jego wyobraźni, bo pan Wincenty nawykły od młodości jedynie do zatrudnień rolniczych i handlu, daleki od czytania xiążek, a szczególniej od obcowania z kobietami obdarzonemi tkliwem uczuciem, dążył zawsze do jednego celu, to jest do spekulacii, a tą była w tej chwili dla niego panna Sabina, wiedząc dobrze w jak smutnym stanie zostaje majątek pana Błażeja, a widząc pannę Sabinę młodą, przyjemną i z czułem dla rodziców sercem zapewniony nadto przez panią Szymonowe o dobrych dla niego państwa Błażejów chęciach, po długim wahaniu się postanowił właśnie w tej chwili z nią się ożenić, nie w myśli ażeby ją uszczęśliwił zapisem swego majątku, lecz jedynie dla tego, że chciał mieć w poźnych latach przy sobie osobę miłą, przyjemną, któraby nie tylko miała o nim troskliwe staranie lecz razem wyręczała go w zatrudnieniach gospodarskich.

W chwili kiedy zapaliwszy fajkę oddawał się zupełnie tym myślom, młodzież zgadując jego zamiary mordercze na niego ciskała pociski, na której czele najwięcej mu dokuczał pan Walery młody człowiek pełen satyrycznego dowcipu. Daremnie jednak silili się na coraz nowe wystrzały, bo pan Wincenty niczem nieobrażony każdemu odpowiadał temi wyrazy »i pana proszę na wesele«. Tak niezachwianą flegmą znudzeni, rzucili się w inną stronę, a pan Wincenty przeszedłszy z wyrachowaniem najpierwszą i najtrudniejszą próbę, chodził po pokoju układając swego ożenienia dalsze projekta.

Słuchając przez pare godzin tej różnobarwnej gawendy, mimo szczerej chęci nie byłem zdolny skreśleć choć w części owe wesołe, dowcipne a najczęściej rubaszne o kobietach żarty, powtórzyć imiona koni, psów gończych i chartów, a cóż dopiero te fałszywe zle zrozumiałe a najczęściej egoizmem tchnące o towarzystwie wstrzemięźliwości zdania.

Z wielką przeto chęcią powróciłem w gronie mężczyzn do pokojów bawialnych gdzie znudzone damy przeszedłszy gruntownie wszystkie metody wychowania dzieci, bale, loterie i paryskie mody przejrzawszy się mimo chęci kilkakrotnie w zawieszonych lustrach, doczekały się nakoniec muzyki i tańca.

Nieznajomy w tej okolicy, chciałem poznać osoby całego zgromadzenia, dla tego siadłem obok pana Teodora z którym dawniej za granicą ścisłą byłem po-

łączony przyjaźnią, był to człowiek wytrawny, oczytany, widzący rzeczy w prawdziwem świetle, a teraz najbliższy sąsiad pana Błażeja.

Dokończenie nastąpi.

Przeczucie śmierci.

Dziwnato chwila! pokój mam w duszy
I serce ciche, a świat tęczowy
Smieje się do mnie, i nibym zdrowy;
A jednak czuję jak mi się kruszy
Ostatnia struna z życiem wiążąca,
A jednak patrzę na zachód słońca
Jakbym go ujrzeć już więcej niemiał,
A jednak głowa tak mi obwisa
Jak liść żałobny, smutny, cyprysa
Kiedy mu słowik nagle oniemiał.

Dziwnato chwila! przed memi oczy
Świat się tak mglisto jak przez łzę toczy,
I chłód grobowy kości me wierci;
Jak liść olszyny tak jestem drzący
I tęskny jestem i jestem spiący,
Jakby mnie skrzydłem tknął anioł śmierci.

I taką nutą gra mi powietrze
Jak gdy się z gościem nieziemskim zetrze,
A moje imię słyszę w tej nucie.
Chciałbym się w ptaka, w chmurkę przewinąć,
By za tym głosem do gwiazd popłynąć,
Jestże to śmierci przeczucie?

A oto jestem jak kwietna trześń,
W koło mej głowy, majową nocą
Myśli, pszczółeczki, rojem brzękocą,
A wkoło serca ptaszki świegocą,
A ja rozwiewam woń... pieśń.

Lecz coż po kwiecie, lecz coż po woni,
Li kwiatem, wonią,—nic więcej?
Będęż sechł tylko przy białej skroni
Albo przy piersi dziewczęcej?

Jabym palące chciał czoła bliźnie
Osłonić cieniem i chłodem,
Usta maczane w klątwy truciźnie
Osłodzić owocu miodem.
Jabym chciał w mroźnej, trętwiącej zimie
Kiedy im serce oskrzepłe,
W śnie letargicznym, w gnuśnym zadrzymie,
Wybuchnąć w płomyki ciepłe.
Jabym zaświecić chciał im pochodnią
Między spodleniem a zbrodnią.
Jabym chciał błysnąć ogniowym ciosem
W ręku anioła mściciela.
Jabym się spalić chciał nawet stosem,
Byleby z moim popiołem,
Na zmazę winy, runęły społem
Popioły odkupiciela.

A oto teraz chylę gałązki
Strojone kwiatem i wonią
Smutny, bo przyszłych plonów zawiązki
Śmierć może ztargać swą dłonią.

I mamże panie! już tak za młodu
Zbiegać w początku mego zawodu?
I bliskiej śmierci zsyłasz mi wróżbę,
Kiedym rozpoczął już świętą służbę
Ku chwale twojej, mego narodu.

Oto przed moim rodzinnym progiem
Strzeń taka żyzna leży odłogiem,
Chęcią płomienną, ręką gotową,
Chcę po niej rzucać nasienie: słowo.
Miałożby ramię twojego gniewu
Myśl mą krępować łańcuchem zgonu?
Zwichnąć mi rękę w środku zasiewu?
Oślepić oko na widok plonu?
Oniemieć usta w połowie spiewu?

Jam tak dalece już się zadłużył
U ciebie panie, u braci ludzi,
Że mnie myśl owa dręczy i trudzi
Żem się wam dotąd nic nie odsłużył.

I z niemowlęcia i od kołyski
Ojciec i matka jak dwa anioły
Nie oszczędzali trudu, mozoły,
Żeby prostować duszę woskową,
Żeby w niej tłoczyć swych cnót odciski.

I formowali mnie w kształt kolumny
Czystej i białej, w niebo patrzącej,
A burzom, gromom urągającej,
Coby nikomu pokłon swą głową
Nieuderzyła; chyba w dno trumny.

A teraz przyszedł już czas wypłaty,
Dług mej wdzięczności przez tyle łaty
Niczem nie zmniejszył się od powicia;
O panie! panie! daj życia, życia.

I kiedy z bryły chropawej dziecka
Z ich rąk wybiegłem pięknym filarem,
O! to ta przyszłość szorstka, nieświecka,
Nie miłym dla mnie była ciężarem.

I zamiast kościoł boży podpierać,
Zamiast piorunom nadstawiać czoła,
Lubiłem rzewno, tęskno pozierać,
Jak ze sklepienia nocnego szczytu
Przez siatkę chmurek, przez mgłę błękitu,
Tańcem się wiła gwiazda wesoła.
Lubiłem kiedy miękkim powojem
Gałąź się do mej piersi tuliła,
Kiedy zielonym, wonnym zawojem
W koło mej skroni się zakręciła,
A wtedy dusza senna pokojem
Niemęzko w takim objęciu śniła.

I gdyby teraz mnie lud zapytał
Com mu za wieszczby z nieba wyczytał?

Czy wypełniłem cel posłannictwa;
O! tobym spłonął wstydem zwodnictwa?
O! bo lud klątwąby mnie przywitał.

Lecz dzięki panu! jeszczem przechował
Moc duszy młodej, i niezmarnował
Wszystkiego czasu; wyjdę z ukrycia
I lud mi klaśnie w chwili rozwicia
Lecz panie! panie! daj życia, życia.

Dawidów 29 stycznia 1845.

Kornel Ujejski.

Pawłokokeizm w Anglii.

Uwagi napisane przez Kokeja.

Dokończenie.

Kupczyk z Manszestru, chociaż mu się nie udaje jego elegantomania i arystokratyczne tony, może być przezto prawdziwie czcigodnym i pracowitym człowiekiem, a z wyjątkiem tej jednej słabości, nie przedstawia on dla najbystrzejszego badacza nic takiego coby go odróżniało od innych głupców lub czcigodnych ludzi w którejkolwiek części świata, dla tego też każdy występujący u nas jako historyk życia mieszczańskiego, spotykać musi nieprzezwyciężone prawie, na swej drodze trudności. Czy to nasz lud jest tak flegmatyczny, głupi, czy czuły... wszystkie te trzy przymioty dadzą się powszechnie zastosować do jednego indywiduum... lub czyli niema sposobności okazania właściwości swoich z domowego życia i zwyczajów człowieka-źwierzęcia; to tylko pewna, że chociaż może lepiej jest uzdolniony do rozmaitych zatrudnień w życiu niżeli jego sąsiedzi, daleko mniej przyda się do zapełnienia stronic xiążki. Dowodem tego jest, iż ilekroć który z naszych powieściopisarzy wprowadzał na scenę kupca, ta osoba była zawsze albo szczerym wymysłem albo karykaturą. Nawet *Baile Nicol Jarvie* nigdy nie żył w Sant-Market z tak rzeczywistą krwią i ciałem z jakiemi żyje w Rob-Roj'u. W każdym względzie nienaśladowany *Baile* znanym jest całemu światu przez dodatki przylepiane do rzeczywistego charakteru jego, szczodrą dłonią jego biografów, i śmieszne sprzeczności w jakich go umieszczają stosunki z celnikami i hurtownikami. W mieście Glazgowie jest on wielce poważany i słusznie, bo to jego miasto rodzinne które się nim pyszni. Wzywany bywa do rady we wszystkich trudnych przygodach, i słynie ze swej znajomości świata i wrodzonej przenikliwości. Lecz czy to wszystko jest obfitym przedmiotem do opisów? i czy słuszna to rzecz robić sobie igraszkę z szanownego *Baile*, przedstawiając go w sposobie tak śmiesznym w jakim on jest przedstawiony w romansach górnej Szkocii?...

Paweł Kok nie stara się zainteresować nas przez wyszukiwanie dziwacznych i nienaturalnych sprzeczności, równie też nie wie on nic o podziemnych jaskiniach, więzieniach i łotrach; ale za to zna każdy zakącik kawiarni, szynkowni, sal kasynowych. A te kasynowe sale dostarczają mu znowu cały serwis nowego rodzaju charakterów zupełnie nieznanych dla świata fikcii w Anglii, ponieważ nic z tego wszystkiego w Anglii nie istnieje. U nas żaden kupczyk ani subiekt etc. nie wziąłby z sobą swojej kochanki na publiczną tańcującą zabawę w którymkolwiekbądź uprzywilejowanym domu tańcu. Żadna uczciwa dziewczyna tamby nie poszła, nawet taka która przynajmniej pragnie zachować pozory przyzwoitości. Żadne umizgi któreby zakończyć się mogły małżeństwem nie zajdą pomiędzy poczynającym szewczykiem a córką goli-brody w poważnym tańcu *chaine anglaise* wpośród drzew w Green-Park, albo nawet w *Jorkshire Stingo*. Ojcowie u nas, mają kamienne serca, a wyżej wzmiankowany goli-broda niezawodnie powiększyłby piękność »wesołych czarnych oczu« swej córki, dając jej wcale inne, gdyby tylko ośmieliła się pisnąć mu o balu czy to pod dachem czy na świeżem powietrzu. Purytanie pozostawili za sobą głębokie ślady. Taniec jest zawsze grzesznym, a szatan zawsze czatuje na balu. Lecz pódźmy za naszym goli-brodą, czyli fryzierem, gdyż najlichszy z Figarów ma wstręt do właściwego imienia swego, i przypatrzmy się jego zabawom. U Pawła Koka, idzie on do kawiarni, wypija małą filiżankę kawy, i chowa w kieszenie pozostałe kawałki cukru; lub też udaje się na jaki balik publiczny gdzie wypełnia wszelkie obowiązki dworskiego szambelana, i ujmuje wszystkie serca przez swoje pełne wdzięku znalezienie się. Jego żona często mu towarzyszy, i zawsze znajduje tam dla siebie ważne zatrudnienie kokietowania w najpoważniejszy sposób kupca tytoniu lub kogo się trafi; podczas gdy panna córka kręci się w wirze walcowym z jakim panem Eugeniuszem lub Adolfem młodym cukiernikiem, a to z taką przyzwoitością i elegancią jakby jaka hrabianka z swoim narzeczonym w balowej sali w *Droushirehouse* w Angli. Nasz przyjaciel fryzier, idzie sobie na fajeczkę, lub jeżeli ma troche wykwintniejsze gusta, na cygaro i spirytus z wodą do sąsiedniej kawiarni, albo też, jeżeli ułożył sobie przepędzić noc wesoło na racionalniejszych przyjemnościach idzie do jakiej restauracii gdzie wokalna mużyka co wieczór się odprawia. Człowiek silnej budowy siedzący w wygodnem krześle, puka poważnie młotkiem o stolik, a jako gospodarz domu, czyni najprzód swym gościom bezinteresowne zapy-

tanie, czyli każdy z *gentlemanów* ma napełnione szklanki. Poczem oświadcza że będzie spiewał i że mu akompaniować ma na fortepianie znakomity artysta; tu występuje naprzód młody, słuszny i chudy mężczyzna z chorobliwym wyrazem w twarzy, włosami przylepionemi pomadą do czoła, i po nizkim ukłonie całemu zgromadzeniu, siada do fortepianu. Gruby gospodarz spiewa, chudy artysta gra, i grzmoty oklasków, i liczne wywoływanie o świeży dostaw smażonych nerek, mocnego *ale*, pasztetów z królika z serem i zimnych marynat, są nadgrodą tego koncertu. Przez jakiś czas tylko jedzą i piją, a posługacze latają od kąta do kąta z tacami szklanek kuflów i półmisków. Nasz fryzier staje się czem raz rozmowniejszy ze swoim najbliższym sąsiadem rzeźnikiem z Whilechapel, i rozprawiają żwawo o pasztetach z nerek i muzyce w ogólności, jako też o nerkach i muzyce udzielanych im tego wieczora. W kilka minut potem łysy, pękaty, zyzooki *gentlemen* siedzący w samym środku izby zdejmuje swoj kapelusz, a po kilkakrotnem zastukaniu młotka gospodarza domu, rozpoczyna spiewać pieśń tak sowicie komiczną, że po ukończeniu onej, cała rozochocona kompania woła jednogłośnie o wieczerzę i świeże butelki ulubionego *ale*. Teraz izba cała zostaje przepełnioną zgłodniałymi wychodźcami z teatrów, a wielce znakomity artysta, zgodzony za gwineę tygodniowo, usiada przy naszym fryzierze. Tymczasem, czcigodny ten *gentlemen* tak jest napchany nerkami, i tak należycie opojony gorzałką z wodą, że zaledwie jest w stanie zrozumieć uwagi rzeźnika z *Whilechapel*, który ma wielką skłonność do aktorstwa i pragnie zmierzyć się talentem swoim ze s ł a w n y m artystą, przy kuflu gorzałki. Nowe zastukanie młotka gospodarza, sprawia chwilowe uciszenie, a mały człowieczek wyskakuje na sam środek zgromadzenia z pieśnią na prędce zaimprowizowaną, w której hojność i gościnność gospodarza jako też wyborność jego wieczerzy godnie są wychwalane. Nasz fryzier słyszy pomieszane okrzyki uwielbienia, brawa i oklaski, i usiłuje nawet przyłączyć się do nich, ale namyśla się wreszcie że już czas odejść. Idzie on tedy, czyli raczej tańcuje w zygzagi przez ulicę, gdzie o mało co nie zabierze scisłej znajomości z pewnym jegomością w niebieskim fraku z laseczką w ręku; gdyż co krok okazuje wielką chętkę potłuczenia plecami swemi wszystkich po drodze latarni o które wyciera swój surdut; i przychodzi nareszcie do domu z wielką satysfakcią żony i córki które tymczasem już się zdradliwie spać pokładły z tą zaspakajającą myślą że ich szanowny małżonek i ojciec, leży gdzieś w bezpieczeństwie zamknięty w kordygardzie. Co się tyczy Francuza, ten nigdy nie wpadnie w żadną awanturę z powodu zbyt obfitego użycia *eau sucrée,* choć też czasem podochoci sobie aż do zuchwalstwa parą szklaneczkami *vin ordinaire,* dla nas to prawdziwie rzecz zadziwiająca widzieć jak mało potrzeba ilości najlekszego napoju aby zawrócił najtęższą głowę u pospólstwa we Francii. U nich też lud nigdy się nie upija aż do stracenia zmysłów, tylko staje się rozmowniejszym i skłonnym do kłótni po najmierniejszem użyciu krajowego ich piwa, w ilości takiej w jakiejby u nas najmocniejsza gorzałka zaledwie upoić mogła. Na piknikach, schadzkach i ucztach wiejskich, kiedy jedna butelka wina obejdzie dwa razy kółko, już całe zgromadzenie jest ożywione, rozmowne, zuchowate, przedrzeźniające się wzajem, wrzaskliwe i paplające dowcipniejsze głupstwa niż wprzódy, a kiedy przyjdzie do sprzeczki, jakaż babilońska wieża słów i jakie machanie głów i rąk! Zamiast kułaków, szturchańców i wdania się policii, jak to się dzieje u naszego ludu skłonnego do boxów, u nich, jeżeli już przyjdzie na najgorsze, potrąca jeden drugiego z lekka z miejsca na miejsce, a potem wszyscy wołają wesoło na policię... i cieniutkim głosikiem piszczące kobiety, i świegotliwi mężczyzni, i niewiadomi parafianie i eleganty kupczyki, i żartobliwi imbierowicze, napychają się, klną, łają, grożą i hałasują jak opętani; lecz przytem ani jedno silniejsze uderzenie, ani jeden kułak po naszemu. Dozorca publicznej spokojności, ukazuje się, a potykający rycerze jakby ich wymiótł: i w kilka minut po tej straszliwej *melée* skrzypce hukną walca lub kontradansa i znowu wszystko idzie jakgdyby nic nie zaszło. Nie chcemy utrzymywać, przynajmniej w tej chwili, że jeden z tych sposobów zakończania sporów jest lepszym od drugiego, (chociaż wyznajemy to szczerze, że przyjaźniejsi jesteśmy potyczkom z pieczenią lub zakorkowanym klaretem, niż boxom i kułakom) chcieliśmy tylko wykazać, że z temi materiałami jakie Paweł Kok ma na swoje zawołanie, jako wierny malarz scen prawdziwych, posiada on wielką przewagę nad opisywaczami scen tego rodzaju w Anglii.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.